

Zbrodnia to nic nadzwyczajnego

Na starcie wszyscy jesteśmy dobrzy. Potem inni zawsze poddają nas obróbcie. Każdy z nas nosi w sobie zapalnik – mówi pisarka powieści kryminalnych Katarzyna Bonda w rozmowie z Anitą Czupryn

Z bohaterami Twoich książek jest tak, że wszyscy mają jakąś traumę, ciężkie przeżycia, które determinują ich zachowania.

Pewnie wpływ na to ma wszystko, co sama przeżyłam. Różne zdarzenia życiowe, traumatyczne. Ale tak naprawdę wydaje mi się, że to jest kwestia wrażliwości.

Zawsze chciałaś być pisarką, ale najpierw postanowiłaś zdobyć warsztat i zostałaś dziennikarką. Nie jest to chyba prosta recepta, bo nie każdy dziennikarz zostaje pisarzem wziętych powieści kryminalnych.

Nie czuję się rozdygotaną panią, która jest neurotyczna, ale faktycznie bardzo wiele rzeczy mnie dotyka. Kiedy pracowałam jako dziennikarka, też tak było. Zawsze zbierałam za dużo materiału. Wiem, że ty też tak masz. W pewnym momencie stwierdziłam, że to świadczy o tym, jaki mam w sobie potencjał: tak ogromną ciekawość świata i ludzi. Jeśli masz w sobie wrażliwość, otwartość, świeżość spojrzenia na to, czym się zajmujesz, to w pewnym momencie musisz napisać książkę. Bo to jest jedyne medium, które pozwala ci, aby to wszystko, co jest w tobie, wyszło. Pierwsza książka, „Sprawa Niny Frank”, sama ze mnie wyszła. Może nie była najlepsza, ale było czegoś za dużo i musiałam dać temu ujście. To nie było do końca świadome. Nie wybrałam kryminału jako gatunku dlatego, że czytałam kryminały. Wręcz przeciwnie, wcale ich nie czytałam. Ale wiedziałam, że ten gatunek daje mi taki kaganiec, że jestem w stanie to udźwignąć. Trzeba być realistą.

Życie przewartościowało Ci się po wypadku, w którym zginął człowiek.

Wypadek był momentem granicznym. Zmarł mój ojciec, wróciłam do ostrej pracy. Wydawało mi się, że to jest dobra metoda na przejście żałoby. Co jest nieprawdą.

Powinno być wziąć dłuższy urlop, zostać w domu. Jechałam do Tarnowa, na materiał o stresie pourazowym u strażników służby więziennej. Z Warszawy wyjechałam o 4 rano, byłam spóźniona. Przez 12 lat jeździłam w trasie, na różne reportaże i nigdy nic się nie stało. Byłam świadoma, że jeżdżę za szybko i na tym zasadała się cała moja wina. Nie zdążyłam wyhamować. Gwałtowne uderzenie, cisza i niedowierzanie. Świat się zatrzymał. Poczulałam dławiące w gardle przerażenie. Bo wiedziałam, że stało się coś strasznego. To się wie, choć całe zdarzenie zamknęło się w kilkunastu sekundach.

Pamiętam tylko jego buty, które spadły mu ze stóp. Ten człowiek nie zginął na miejscu. Zabrano go do szpitala. Próbowaliśmy się skontaktować z jego rodziną, zaferować pomoc, ale kiedy zmarł, nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Nie wiedziałam, jak mam dalej żyć. On urodził się dokładnie tego samego dnia co ja. To tak, jakbym zabiła samą siebie. Nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Bałam się wsiadać do samochodu, mam lęk, gdy przechodzę przez ulicę. Jestem osobą karaną, dostałam wyrok w zawieszeniu, mam terminowe prawo jazdy, które niedługo mi się kończy i muszę odnawiać badania. Teraz jeżdżę ostrożnie.

Zrobiłam dużo, żeby sobie poradzić z poczuciem winy. Nie można w niej zostać. Stąd się potem wzięła moja książka „Polskie morderczynie”.

„Polskie morderczynie” właśnie teraz znów są wznawiane. Jak wyjaśnisz to, że ludzie chcą o tym czytać?

Ta książka w pewnych kręgach stała się kultowa, co mnie dziwi. Bo to maksymalnie offowa lektura. Trzeba być kompletnym świrem albo mieć takie przeżycia jak ja, aby wziąć się za taki projekt. Ale z drugiej strony nikt w Polsce dotąd nie pokusił się o napisanie takiego studium psychologicznego. W Wielkiej Brytanii jest doktorantka prof. Davida Cantera, światowej sławy brytyjskiego profilerka, która robi badania m.in. na podstawie moich rozmów z morderczyniami. Okazało się, że moje wywiady są metodą badawczą i nazywa się to naukowo „życiowymi narracjami przestępców”. Popularna jest nowa metoda analizowania indywidualnych przypadków na podstawie ich życia. Dzięki tej metodzie profilerzy pomagają policjantom odnajdywać przestępców. Moja książka oraz wszystkie materiały pojechały do Wielkiej Brytanii, a że jestem skrupulatną osobą, było tego ogromne pudło, mnóstwo segregatorów, nagrań, zdjęć. Byłam też jako autorka chyba na wszystkich wydziałach kryminologii i psychologii, resocjalizacji, prawa, na mitingach, seminariach. Fenomen tej książki nie jest dla mnie zrozumiały, dlatego że moim założeniem było tylko to, aby spojrzeć w oczy tym kobietom i posłuchać ich historii. Nie chciałam ich oceniać ani analizować.

To miała być opowieść o bestiach, a okazało się, że jest o ofiarach. Nie zakładałaś, że tak się stanie?

O morderczyniach pisałam, będąc jeszcze sprawozdawcą sądowym, na początku mojej dziennikarskiej pracy. Nawet dostałam jakąś nagrodę za autorskie relacje z sądu. Już wtedy dużo o nich wiedziałam i wszyscy mówili mi, że bym napisała o nich książkę. Wówczas czułam się na to za mała.

„Gwałtowne uderzenie, cisza i niedowierzanie. Świat się zatrzymał. Poczulałam dławiące w gardle przerażenie. Wiedziałam, że stało się coś strasznego”

Ale jest takie chińskie przekleństwo: „Oby wszystkie twoje marzenia się spełniały”. Kiedy zdarzył się wypadek, to najpierw powstała „Sprawa Niny Frank”. „Polskie morderczynie” były już świadomym projektem. Nie łączyłam go z moim wypadkiem. Po prostu to był dobry czas na to, żeby się za to wziąć. Ale prawdopodobnie, gdyby te wszystkie elementy tak się nie spłotyły, to ta książka by nie powstała. Była jedną z trudniejszych, jakie pisałam. Kiedy zaczęłam nad nią pracę, chciałam się zmierzyć z bestiami. Miałam poczucie, że jestem w stanie je zrozumieć, ale stojąc z boku. Tak naprawdę chciałam zmierzyć się ze złem. Nie przewidziałam, że one mogą nie spełnić mojego oczekiwania. Były dla mnie ciekawe. Miałam wypadek, ktoś przeze mnie zginął, ale tego nie chciałam. A one zrobiły coś złego świadomie. O co chodzi? Szukałam różnicy między mną a nimi. Większość ludzi nie doświadcza takich zdarzeń.



Katarzyna Bonda, pisarka kryminalów, autorka książki „Polskie morderczynie”

Co było dla Ciebie najbardziej zaskakujące w rozmowach z nimi?

To, że nawet te morderczynie, które pochodziły z dobrych domów, inteligentne, też miały w sobie error. I ten błąd był makiaweliczny. Nie dotyczył fizyczności. Nie było przemocy domowej, ale na przykład rodzaj oszustwa, które zdarzyło się kiedyś i rzutowało na ich życie. Albo rodzaj relacji negatywnych między rodzicami, chociaż pozornie to była wspiana rodzina. Te dziewczyny osiągały wysoki poziom intelektualny, kończyły studia, ale error został. I on stał się ich zapalnikiem.

Przeglądałaś się historii zabójstwa małej Madzi z Sosnowca i jej matki?

Dopiero niedawno. Przypadek matki Madzi jest inny, choć widziałam elementy spójne z moimi bohaterkami. Jak np. chłód, który sprawia, jakby one były oddzielone od tego, co robiły. To typowe dla zabójczyń – oddzielają to, żeby się chronić. Ludzie widzą w tym potworne zło, ale ten chłód tak naprawdę wynika ze wstydu i on jest obecny u wszystkich moich bohaterek. Matka Madzi to dzieciobójczyni, zupełnie inny typ. To zupełnie inna psychologia sprawcy. Ale jestem pewna, że to osoba, która musi mieć zdolności komunikacyjne i potrafi manipulować otoczeniem. W jej przypadku mamy też do czynienia z pragnieniem bycia docenioną, sławną nawet, co jest najbardziej przerażające. Najbardziej jednak oburza mnie to, że media jej w tym pomagają.

Wróćmy do Twojej pierwszej książki „Sprawa Niny Frank”. Wówczas po raz pierwszy poznaliśmy postać policyjnego profilerka, jaki nigdy wcześniej w polskim kryminale nie gościł. Pierwowzorem postaci jest autentyczny psycholog śledczy Bogdan Lach z katowickiej policji. Ile w Twoim bohaterze Hubercie Meyerze jest z prawdziwego profilerka?

Tylko to, że jest profilerem, pracuje w Katowicach i to, że najpierw pracował w więzieniach, a potem został policjantem psychologiem. Biorę z rzeczywistości pewne ele-

menty, które są namacalne, które są faktami, reszta jest przetworzona. Kiedy wymyślałam Huberta Meyera, nie miałam świadomości, na czym polega kreacja bohatera kryminalnego. Pisałam o facecie, który mógłby mi się spodobać. To miał być mężczyzna, który ma swoje wady, ma zalety, ale generalnie jest popapwany, wymyka się jednoznaczny ocenom, nie zawsze zachowuje się elegancko, ma syndrom postaci zmiennokształtnej, która cały czas mnie tak fascynuje. Nie radzi sobie ze sferą emocjonalną, lecz ogarnia życiową, jest w niej perfekcjonistą. Czyli jest to moje męskie alter ego. W każdej powieści kryminalnej jest detektyw, który musi mieć skazę i to jest klasika. Uważam, że skaza żadnemu bohaterowi nie szkodzi.

Jak Bogdan Lach zareagował na Twojego bohatera?

Pokazałam mu książkę, kiedy została już wydana. Bałam się. Bogdan jest osobą bardzo wymagającą, poprawną, uporządkowaną, na pewno nie robi wszystkich tych rzeczy, które przypisałam swojemu bohaterowi i innym postaciom moich książek. Jest kryształowy, w związku z tym dla fabuły – nudny jak flaki z olejem i nie dałoby się tego czytać. Ale obawiałam się, że mnie zrużga dokumentnie. A wyobraź sobie, Hubert Meyer mu się spodobał. (Śmiech)

Pomyśl na nową książkę, nad którą teraz pracujesz, też wziął się z życia?

Zawsze tak jest. To element, który mnie uruchamia. Są historie, które można napisać w gazecie, ale jak się napisze książkę, obuduje całą przestrzeń psychologiczną, można pójść kilka kroków dalej, zobaczyć, co może się stać, stworzyć dramaturgię zdarzeń, by opowiedzieć uniwersalną historię. Ta opowieść też będzie oparta na prawdziwym przypadku. Była taka kobieta, był taki mężczyzna, spotkali się i ona postanawia go uratować. Jak zwykle interesuje mnie człowiek.

I znów będziemy mieli do czynienia z bohaterką, która jest silniejsza od mężczyzny, ma swoje sekrety, i z mężczyzną, który jest życiowym popaprańcem?

Oczywiście. (Śmiech) Moi bohaterowie są zawsze jakoś złamani emocjonalnie. Tylko wtedy jest szansa na katharsis, które dzięki opowieści może przeżyć czytelnik.

Powieści kryminalne pokazują, że nawet najdoskonalsza zbrodnia wyjdzie na jaw, a zbrodniarz zostanie ukarany. W życiu nie zawsze tak jest. Myślisz, że istnieje zbrodnia doskonała?

W kryminale sprawca musi zostać złapany, to baśń dla dorosłych i nie może być inaczej. Natomiast najlepsza powieść kryminalna to taka, która zostawia otwarte zakończenie. Ono pokazuje, że zło nadal istnieje. Przykładem jest film „Chinatown”. Detektyw odkrywa zagadkę, ale nie jest w stanie zapobiec uczynionemu złu. I tak też dzieje się w życiu. Ale wydaje mi się, że nie ma zbrodni doskonałej. Bo jeśli przestępca nawet to uszło na sucho, to zapłaci za to w inny sposób. Swoim późniejszym życiem.

Wierzysz w to, że ludzie są dobrzy, ale każdy z nas jest w stanie popełnić zbrodnię?

Na starcie wszyscy jesteśmy dobrzy. Ale potem poddają nas obróbcie. Inni ludzie, środowisko, to, czy nam się coś uda, czy nie, to wpływa na nas. Zbrodnia nie jest niczym nadzwyczajnym. Każdy z nas ma w sobie zapalnik. **Rozmawiała Anita Czupryn**



Nowa książka Katarzyny Bondy „Florystka. Powieść kryminalna”, Wydawnictwo Videograf